ROZMAITOŚCI.

Dnia 5. października, Ner 40. roku 1844.

ZAWIŚĆ I ZEMSTA.

(Dokończenie.)

2.

Upłynęły trzy miesiące a tymczasem wiele się odmieniło. W samotnym pokoju w Sienna, siedziała smutna, opuszczona Wincencyja, w głębokiem zatopiona dumaniu. Jakby długi obrzęd pogrzebowy przechodziły obrazy jéj młodości przed jéj stroskaną duszą; przypominała sobie ojca, który podobnie jak i ona, był samotny i opuszczony od tego wszystkiego, co miał najdroższego na ziemi. Prędko wionęły ideały jéj miłości. Lippi wziął romantyczne przebudzanie się miłości za istotną miłość, która właśnie wtedy go opuściła, gdy zwyczajne okoliczności byt jéj utrwalić miały — gdy spokojne przywiązanie i rządne domowe pożycie stały się obowiązkiem małżonka, i po fantastycznie ulotnym szale, wierności zażądały. To, tak naturalne przejście pierzchliwego zapału w stałe uczucie, przejście cienia w przedmiot, wydało się młodemu malarzowi powrotem w świat powszednéj jednostajności; lube kajdany małżeńskiéj miłości stały mu się uciążliwémi; niechęć i obojętność owładły jego piersi a zatruły szczęście młodej małżonki. Bo Wincencyja była zanadto przenikliwą, aby podobna zmiana w uczuciach i postępkach jéj męża, mogła ujść jéj baczności, a smutne to postrzeżenie obudziło w niéj nowy i nigdy zupełnie nie stłumiony żal za jéj dziecięce względem ojca wykroczenie. Ztąd też powstała w jéj obchodzeniu się z mężem pewna oziębłość, która przez to samo i jego zobojętnienie powiększała, a tak to obopólne ubywanie ich miłości oddziaływało wzajemnie, aż wreszcie, nie mogąc już oboje dłużéj swojéj niechęci ku sobie ukryć, jawnie swój stosunek zerwali. Wyznali sobie, iż piérwszémi wrażeniami młodości uładzeni, mylnie przemijające uniesienie uczucia za stanowczy głos przeznaczenia wzięli; ale podczas gdy lekkomyślny Lippi mniemał, iż dobrowolném rozerwaniem swojego związku zdoła przeciąć wszelkie dalsze ztąd wynikające skutki i wszystko do dawnego przywrócić stanu: — rozsądnéj i głęboko czującéj Wincencyi już sama duma zawiedzionéj miłości nie dozwalała wystawiać nierozważnemu mężowi, jaki był ten przedział, który między ich dawniejszém a terazniejszém życiem zachodził, i który nawrócenia do minionych już czasów nazawsze bronił. Z zakrwawionem sercem lecz z pozorną spokojnością przyjęła mężowski wniosek dobrowolnego rozstania się; a tak Lippi powrócił znowu do świata, któremu właściwie jego lekki, wietrzny umysł przynależał, i od którego się nigdy bezkarnie oderwać nie mógł. Wincencyja zaś zamierzała udać się do ojca, będąc tego przekonania, iż jéj łzom i prośbom swego przebaczenia nie odmówi. Z roskoszą ale nie bez bojaźni wyobrażała sobie tę chwilę, w któréj ujrzawszy znów swego ojca, będzie mogła wylać swój żal i swoję boleść na jego ojcowskie łono; ale pomimo silnéj tęsknoty oglądania go jak najprędzéj, zbywało jéj przecież na odwadze udania się wprost do niego. Tak téż i dzisiaj siedziała zadumana biorąc swoje nadzieje i obawy na rozwagi szalę, gdy oto usłyszała do drzwi pukanie. Zerwała się przestraszona, a wtém wszedł jakiś mężczyzna — byłto jéj ojciec. Chciała pobiedz

naprzeciw niemu, lecz nagłe przerażenie przykuło ją do miejsca. »Biada mi!« wykrzyknęła ciężko westchnąwszy.

»Więc aż do tego przyszło, córko moja, że wołasz biada! na widok twojego ojca?« rzekł smutnym, wzruszonym głosem i ujął odszukane dziecię w swoje ramiona.

Te słowa przywróciły jéj przytomność. Łkając, jakby miała zginąć z niewysłowionéj boleści, rzuciła się Wincencyja ojcu na piersi, nie będąc długo wstanie zajrzéć mu w oczy, aż wreszcie nieśmiało podniosła wzrok ku niemu i wyczytała pociechę w jego drogiém obliczu, które było poważne i uroczyste, ale oraz tak łagodne i dobrotliwe, że się dwójnasób wzruszoną uczuła. Jak nowo znaleziony klejnot, przyciskała Wincencyja ojca do piersi, a on z równą czułością odpowiadał na jéj radość. Żaden rys jego twarzy, żadne słowo ust jego nie okazywało najmniejszego zarzutu.

»Mój ojcze! Ileżto zdarzeń zaszło od naszego ostatniego widzenia się!« mówiła Wincencyja ze łzami.

»Daj temu pokój, moje dziecię. Co zaszło, odmienić już nie można. Wiém wszystko. Twój mąż porzucił cię. Bawi teraz w Florencyi. Jego protektor, książę Cosmo Medici, zajął się pojednaniem mnie z zięciem. Przebaczyłem mu, nie mogąc na teraz nic lepszego uczynić. Ma on skończyć obraz, który rozpoczął dla Cosma, a tenże każe cię prosić, abyś mu znowu za wzór służyła, gdyż Lippi naprzód oświadczył, że w inny sposób nie może dokończyć malowidła. Jak on zwykle tylko to kocha, czego albo wcale osięgnąć nie zdoła, albo co już nazawsze utracił, tak zdaje się prawie, jakby pragnął nowego połączenia się z tobą. Czyń jak ci się podoba; jesteś zupełną panią swojéj woli. Teraz zaś jedź ze mną do Florencyi i dozwól Lippiemu dokończyć obrazu, po którym sobie nieśmiertelną sławę przyrzeka!«

W kilka dni wróciła Wincencyja z ojcem do Florencyi. Sam Cosmo przyprowadził w ich dom Lippiego, prosząc aby mu przebaczyli. Wincencyja nie miała nic przeciw temu, ale się oraz stanowczo oświadczyła, że sobie samotność klasztorną na przyszłość obrała; a chociaż jéj ojciec w tym względzie żadnego wyraźnego wyroku dawać nie chciał, łatwo przecież odgadnąć mogła, iż jego serce zgadzało się z jéj postanowieniem. Lippi którego skłonność do Wincencyi z obawy zupełnego jéj utracenia, pierwszym roztlała płomieniem, spodziewał się odnowioną czułością złamać jéj upor i zmienić jéj przedsięwzięcie. W tym zamiarze korzystał z każdéj sposobności aby także i przed ojcem Wincencyi okazał swój żal i stałą zmianę swego sposobu myślenia; mimo to wszystko jednakże był Buti zawsze obojętny, i czasami tylko można było dostrzedz, że mu na dnie serca jakaś dzika namiętność wichrzyła.

Tak się miały rzeczy po Wincencyi powrocie do rodzicielskiego domu. Lippi przy mocném wewnętrznem wzruszeniu, które jego nanowo wzbudzona miłość do Wincencyi wywołała, pracował z namiętną usilnością nad ukończeniem obrazu, do czego się niemało i niecierpliwość książęcia przyczyniła. Raz tylko jeden siedziała Wincencyja mężowi, a jego dzieło zbliżało się już do końca, gdyż Lippi natchniony widokiem pięknéj Wincencyi, oddawał się z największém zamiłowaniem pracy.

Jednego dnia został Lippi do księcia Cosmo wezwanym. Wincencyja weszła do pokoju i patrzyła z natężoną uwagą na obraz, w którym najpamiętniejsza część jéj życia umieszczoną była. Na to nadszedł jéj ojciec, aby na pozór spokojny, przypatrzył się z nią razem malowidłu.

»Jestto piękny obraz,« — rzekł po chwili do córki — »gdyby był ukończony, sądzę iżby istotnie mógł uwiecznić imię swojego mistrza.«

»Lippi przyrzeka, że wkrótce będzie skończony,« odpowiedziała Wincencyja, »tylko głowa bogini jeszcze niektórych odmian wymaga, a to da się w kilku godzinach uskutecznić; poczém będzie można to dzieło za zupełnie dokonane uważać, — o ile ludzkie prace, dokonanémi być mogą.«

»A gdyby Lippi przecież tego obrazu nie dokończył?« zagadnął Buti zlekka.

»Czemużby niemiał dokończyć, mój ojcze, gdy już tak mało do ukończenia pozostaje?«

»Lippi może umrzéć.«

»Żartujesz sobie ojcze, Lippi skończy ten obraz jeszcze dnia dzisiejszego.«

»Masz słuszność moje dziecię, ja tylko żartuję sobie. Ale gdyby przecież Lippi właśnie przed skończeniem swojego obrazu umarł — gdyby będąc tak bliskim swego upragnionego celu, musiał zginąć i zostawić swe dzieło nieskończone, jako niezrozumiany zarys dla potomności?«

»Ach, to byłoby okropnie mój ojcze! Lippi wszystkie nadzieje swojego życia, wszelką siłę swojego ducha złożył w ten jeden obraz; od tego obrazu spodziéwa się on za życia sławy a nieśmiertelności na przyszłość. Jeźliby w tych stanowczych chwilach umrzéć musiał, gdy dokończenie jego utworu od jednéj prawie tylko minuty zawisło, jeźliby nie mógł tego już prawie ukończonego dzieła dokończyć — o, wtedy śmierć jego byłaby okropna i rozpaczająca!«

»Czyż istotnie moja córko tak sądzisz?« rzekł Buti.

»Ach, mogęż inaczéj, mój ojcze! Lecz dla czegoż tak silnie wypytujesz mię o ten urojony wypadek, którego łaskawe nieba przecież nie dopuszczą! I czemużeś tak blady mój ojcze! Cóż ci jest?«

»Nic moja córko!« odrzekł Buti, który w téj chwili istotnie bardzo blado wyglądał, a którego oczy jakimś chorowitym ogniem błyszczały. »Lecz idź do siebie Wincencyjo. Wkrótce powróci Lippi, a niechciałbym aby cię zastał przypatrującą się temu obrazowi, jakgdyby zatopioną w podziwianiu jego wielkości.«

Wincencyja oddaliła się, a po krótkiéj chwili wrócił Lippi. Ujrzał swojego teścia patrzącego wciąż w obraz, i wziął tę głęboką uwagę za pomyślną wróżbę dla swoich dalszych życzeń.

Powitał szczerze starca i wyraził mu swoją radość że go przed obrazem zastaje.

»Będzieto piękne dzieło,« rzekł Buti uprzejmiéj niż zwykle dotąd przemawiał, »życzę ci szczęścia do jego bliskiego dokonania, które ma uwieńczyć twoje najwyższe życzenia!«

»Jeźli Bóg dozwoli, dziś jeszcze je ukończę;« odpowiedział Lippi. »Lecz to bynajmniéj wszystkich mych życzeń jeszcze nie uwieńczy. Dopiéro wtedy, gdy ty mi ojcze zupełnie przebaczycz, gdy Wincencyja znowu moją będzie...«

»Nie mówmy o tém!« przerwał mu starzec nieco przykrym tonem. »Sam wyznaj Lippi, iż teraz dla tego tylko tak gorącą miłością do mojéj córki pałasz, że już nie jest twoją. Nowe jéj posiadanie spowodowałoby w tobie nowe zobojętnienie i nową niechęć ku niéj, nie prawdaż Lippi?«

Lippi milczał zmieszany. Słuszność tego zarzutu zbyt go ostro ugodziła, aby mógł był tyle miéć odwagi iżby znalazł natychmiast zaprzeczającą odpowiedź. Po chwili chciał coś wyrzec w swoje usprawiedliwienie, lecz Buti przerwał mu i tą razą.

»Mówmy o czém inném! Któż jest w stanie przewidziéć, jak to wszystko wypadnie, jak się twój umysł, a nawet i mój własny wkrótce może odmienić? Jeżeli chcesz ze mną pomówić o innych przedmiotach i wypić śklankę syrakuzańskiego wina, będziesz mi pożądanym gościem.«

Lippi, który, mimo zaciętego uporu starca, nie widział go dawno już tak uprzejmym dla siebie, przyjął z radością zaproszenie, w nadziei że wino wymowniéj niż on sam, poprze jego prośby i życzenia.

Buti wyszedł na chwilę z pokoju i wrócił nie bawiąc z dwoma dużémi, winem napełnionémi puharami. Idący za nim sługa przyniósł niektóre do zakąski przybory. Lippi napił się kilka razy z puhara. Podobnież uczynił i Buti, chociaż w ciągu pogadanki widocznie jeszcze bardziéj pobladł niż wprzódy a niekiedy nagle rozmowę urwał aby Lippiemu w oczy zajrzał, albo w jeden punkt ściany wzrok swój wlepił; zresztą zdawał się być równie łagodnym i uległym, jak niespokojnym i roztargnionym. Po chwili wywołał go sługa z pokoju. »Na szczęśliwe ukończenie twego obrazu, Lippi!« rzekł nieco ponurym głosem, wychylił do dna puhar i wyszedł. Lippi pozostał sam w komnacie, oddając się wygodnie wypoczynkowi i spokojnemu rozmyślaniu o swoich nadziejach i planach.

Wincencyja tymczasem bawiła w swoim pokoju, w owém tajemniczo trwożném usposobieniu, z którego dusza sama sobie

sprawy zdać nie może. Jakaś niewyjaśniona obawa zamieszkała jéj piersi; drżała przed jakiemś niebezpieczeństwem, którego nigdzie dostrzedz nie mogła; lękała się jakiegoś przedmiotu, którego ani znała ani była wstanie oznaczyć. Nareszcie nie mogła wytrzymać dłużéj w swym ciasnym pokoiku i pobiegła do sali swojego ojca, aby tam przynajmniéj z okna żyjące istoty ujrzéć mogła. Sala była próżna; przypadkiem rzuciła okiem na szafę i ku swojemu źdźiwieniu postrzegła ją otwartą; chcąc ją zamknąć, ujrzała że flaszka z trucizną była odpieczętowaną i że jakaś część napoju w niéj ubyła. Okropne przeczucie ogarnęło jéj duszę, w okropnéj trwodze przebiegła resztę pokojów i wbieżała do komnaty, gdzie się Lippi jeszcze znajdował.

Wincencyja spojrzawszy na puhary, zapytała go drżącym głosem: »Czy piłeś?«

»Piłem.«

»I z kimże?«

»Z twoim ojcem. Sądzę że chwila naszego zupełnego pojednania już nie daleka.«

»Nieszczęsny, jesteś otruty!«

»Przebóg, co mówisz Wincencyjo?« zawołał Lippi blednąc, zerwawszy się nagle z miejsca. Ale wnet się znów uspokoił i dodał z uśmiechem: »Żartujesz Wincencyjo, lub ci się przyśniło. Prawda że wino jest pod niejakim względem także trucizną, ale trucizną po któréj zawsze dobrze się miałem.«

»Tu niéma czasu do żartów!« zawołała Wincencyja okropnym głosem. Powiadam ci, jesteś otruty Lippi; za godzinę najdaléj umrzesz. Przygotuj się na śmierć; krótki ci tylko czas pozostaje.«

Lippi spojrzał na nią osłupiałém okiem. »W samej istocie Wincencyjo, jak się zdaje, masz słuszność. Jakiś dreszcz wskróś mię przejmuje. Twój ojciec jest spiesznym mordercą.«

»Ach teraz przenikam jego straszliwą zemstę!« zawołała drżąca Wincencyja. »Chciał cię w téj chwili zabić, gdy twemu obrazowi ostatnie miałeś dać zakończenie; chciał z tobą razem i twoję sławę zatracić, chciał abyś umarł z rozpaczy żeś nie mógł dokonać najwyższego zadania twojego. Teraz odgaduję myśl dzisiejszéj jego rozmowy ze mną. Dokazał swego okropnie!«

»Zaiste, ojciec twój przemyślny zabójca!« westchnął Lippi blednąc coraz widoczniéj. »Żyłem nadaremnie! Moje imię nie przejdzie do potomności. Ta myśl większą mi boleść sprawia, niż trucizna twojego ojca!«

Wincencyja stała w głębokim smutku; nagle zdało się, jakby jakaś myśl jéj duszę przeniknęła; wybiegła spiesznym krokiem z pokoju i wróciła po kilku chwilach z flaszką w ręku.

»Lippi!« zawołała radośnie. »Życia twego ocalić już nie zdołam, gdyż trawiąca trucizna przejęła już wnętrzności twoje. Ale dzieło twoje ocalić jeszcze się spodziéwam. Ta flaszka zawiéra w sobie skuteczny napój przeciw truciźnie, jedyny środek przedłużenia ci życia. Napij się prędko, a pokąd jeszcze czas, weź się do ukończenia obrazu.«

Chciwie porwał Lippi z rąk Wincencyi flaszkę i wychylił ją prawie do połowy. Poczém ujął Wincencyję gwałtownie w swoje ramiona i zawołał: »O mój aniele! Tyś mi więcéj niż moje życie, tyś we mnie moją wyższą istotę ocalił! A ja niegodny dopiéro na progu śmierci twoję niebiańską dobroć poznaję! Ach przebacz, przebacz mi Wincencyjo! Ale czas nagli — tych kilka chwil mego życia, któreś śmierci wydarła, należą memu dziełu. Bądź zdrowa Wincencyjo! Żegnam cię nazawsze! Nie przeklinaj mnie i przebacz twemu ojcu. Jego zemsta straszna, lecz nie spada na niewinnego! — Ile razy spojrzysz na ten obraz, duch mój przemówi do ciebie! Żegnaj!«

Z trwożliwym pośpiechem przystąpił Lippi do malowidła, uchwycił penzel i oddał się pracy. Owa nadziemska jasność umysłu, która często chwilę zgonu poprzedzać zwykła, zabłysła teraz w duszy Lippiego. Wszystkie jego duchowe władze wzmogły się w jednę twórczą działalność; zdało się, jakgdyby całe życie jego niecierpliwie w ten obraz skupić się chciało, jakgdyby farby same na palecie były już obrazem, a on je tylko na płótno przenosił, jakgdyby ulatujący duch jego już teraz w tych farbach swoje zmartwychwstanie obchodził!

Każde pociągnienie pęzla było jenijalnym wyrazem ostatniego wydoskonalenia, było odbiciem ducha natchnionego wieszcza!

Wincencyja stała zdala w trwożném oczekiwaniu. Widziała jak farby prawie czarodziejską szybkością układały się same w zamysł malarza. Lecz jadowity napój, chociaż przeciwnym środkiem stłumiany, coraz mocniéj wkradał się do serca Lippiego. Wincencyja drżała z bojaźni! Lippi jednakże odetchnąwszy ciężko, zbiérał nanowo ostatki swoich sił i wykończał malowidło. Tak minęła godzina śmiertelnéj męki. Oblicze Lippiego stawało się coraz bardziéj blade i martwe, tylko jego usilnie na obraz zwrócone oko jaśniało nadludzkiém zachwyceniem. Ciągle z największém natężeniem przyspieszał ukończenie. Wreszcie odstąpił o krok w tył od obrazu, powiódł przenikliwym wzrokiem po malowidle, i zawoławszy mocnym głosem: »Skończone!« padł na ziemię.

Z głośnym wykrzykiem rzuciła się Wincencyja ku niemu i nachyliła się nad konającym. On wskazał raz jeszcze ręką na malowidło, powtórzył cichym głosem: »Skończone!« i — już nieżył.

Wykrzyk przestrachu Wincencyi rozległ się po całym domu. Oglądając się ostrożnie, wszedł Buti do pokoju, a rzuciwszy okiem na trupa Lippiego, wstrząsł sobą i stanął; lecz wnet uśmiéchnął się z okrutném zadowoleniem i rzekł sam do siebie: »Trucizna moja była mi wierną; nie dała mu dokończyć dzieła.«

Wincencyja martwa z boleści wskazała na obraz. Buti spojrzawszy w tę stronę, pobladłszy, krzyknął z gniewem i rozpaczą: »Przeklęcie! Obraz skończony! Mój wróg umarł w pocieszającéj nadziei potomnéj sławy!« Teraz postrzegł także do połowy nadpitą flaszkę z uleczającym napojem i odgadł cały bieg rzeczy.

»Znowu więc własne dziecię moje w spisku przeciwko mnie!« rzekł z gorzkim zarzutem. »Więc nadaremnie popełniłem zbrodnię? Nie jego życie, ale sławę jego chciałem zagubić nazawsze, i przysięgam na piekło, dotrzymam sobie słowa!«

To rzekłszy wyciągnął ramię i chciał zniszczyć malowidło. Ale z siłą najwyższéj trwogi chwyciła go Wincencyja za rękę i zastąpiła mu drogę. »Stój, ojcze!« krzyknęła z rozpaczą, a jéj oko zaiskrzyło się rozkazująco: »Same nieba strzegły tego dzieła i dozwoliły mu skończyć je śród boleści konania. Szanuj gniewne nieba skinienie! Nie przebiéraj miary twych zbrodni!«

Tym rozkazującym głosem uderzony Buti zachwiał się i opuścił wyciągniętą ku obrazowi rękę.

W téjże chwili dały się słyszéć różne głosy przed domem a po krótkim czasie wszedł Cosmo Medici z licznym orszakiem do pokoju.

»Gdzie jest Lippi?« zapytał. »Gdzie jego obraz? Miał być dzisiaj skończony. Przychodzę go obaczyć i zabrać z sobą.«

»Dzieło jego skończone! Ocal je panie dla jego sławy;« — odpowiedziała Wincencyja i podniosła zasłonę, która zakrywała ciało młodzieńca.

»Przebóg! Cóżto ja widzę? — Takżeś wcześnie piękny jenijuszu uleciał z téj ziemi!« zawołał Cosmo boleśnie. »Nie żyjesz! Lecz imię Filippo Lippi będzie wiecznie jaśniało śród najsławniejszych zwolenników sztuki! Pyszny grobowiec pokryje twoje śmiertelne zwłoki, a najpiérwsze miejsce będzie wyznaczone twojemu tak pięknie dokonanemu dziełu! — Wincencyjo, byłaś jego żoną, powiédz, jakiéj łaski żądasz odemnie?«

»Pozwól panie, abym mogła ślubować niebu i czynić pokutę za cudze grzéchy;« rzekła z pokorą Wincencyja, a spaniałomyślny Cosmo skinął głową na znak przyzwolenia, — podczas gdy przywołani słudzy sprawiedliwości wzięli starego złoczyńcę Buti, który wkrótce za karę swojéj okrutnéj zbrodni położył głowę na rusztowaniu.

Telegrafy elektryczne.

Sposób używania telegrafów teraźniejszych zostanie bez wątpienia zastąpiony wkrótce przez inny nowy, prędszy i dokładniejszy. Telegrafy pourządzane dotąd we Francyi, Anglii i Prusach, mogą tylko w dzień i przy jasnéj pogodzie podawać wiadomości; przy najmniejszéj mgle zaś albo deszczu zwijają skrzydła i drzémią. Nadejście nocy lub słota tamuje natychmiast ich komunikacyję,

przezco niejedna depesza kilka dni w drodze bawi. Ma być naprzykład następna wiadomość udzielona: »Stoczono wielką bitwę....;« tu zapada noc a dopiéro jutrzejszy ranek donosi daléj: »między sułtanem a paszą egipskim«.... Lecz wzniosła się gęsta mgła, trwająca kilka dni, a dopiéro po jéj ustaniu uzupełnia telegraf swoję wiadomość, któréj już wszyscy pocztą się dowiedzieli. Wszelkim podobnym niedogdnościom zaradzają doskonale telegrafy elektryczne, których profesor Wheatstone wprawdzie dotąd tylko na próbę lecz z nadzwyczajnie pomyślnym skutkiem używa. Za przykładem tego niezrównanego fizyka poszli już Watson i Bischoff w Anglii, Winkler w Lipsku, Lemonnier w Paryżu, Bettancourt w Madrycie. Sommering był już rozwiązał to zadanie przez rozłożenie wody za pomocą prądu elektrycznego; lecz jego operacyje były zanadto zawikłane a przeto nie do użycia w praktyce. Ponawiano jednak doświadczenia, aż wreszcie Oersted odkrył, że prąd elektryczny, równie mocny jak pewny, poruszający skutek na magnesowéj igle sprawia. — Na jednym końcu, gdzie wiadomość ma być podana, znajduje się stos Wolty, na drugim zaś końcu, dokąd wiadomość dojść ma, jest igła magnesowa, a pomiędzy témi dwoma końcami ciągną się żelazne komunikacyjne druty. Za pomocą prądu elektrycznego udziela się magnesowéj igle jakiegokolwiek poruszenia, które tę albo ową głoskę oznacza. Na jednym końcu telegraficznéj linii, znajdującym się naprzykład w Londynie, trzeba tylko ruszyć sprężynę, a ta potrąca natychmiast na drugim końcu linii, naprzykład w Liverpoolu, stosowne do wiadomości głoski. W ten sposób można podobne doniesienia czynić tak prędko jak się pisze. Elektryczny telegraf posuwa nawet do tego stopnia swoję usłużność, iż drukuje sam udzieloną wiadomość i to prawdziwemi czcionkami. Jeźli depesza ma zostać tajemnicą, natenczas okrywa telegraf podrukowaną przez siebie kartkę papierową zasłoną, którą dopiéro rozedrzeć trzeba, aby przeczytać wiadomość. Tak więc może depesza jak zapieczętowany list być podaną. Prąd elektryczny, skierowany ku repetyjerowi, sprawia że zégarek bić będzie, lub porusza przymocowany doń excytarz, przezco można osobę o 10 lub 20 mil oddaloną wezwać natychmiast do udania się na swoje stanowisko i dawania baczności na wiadomość, która ma być udzieloną. Podobny elektryczny telegraf jest już w nieustannym ruchu na brystolskiéj kolei żelaznéj, i to w odległości 30 mil angielskich. Wzdłuż całéj kolei ciągną się mosiężne druty, które w pewnych odległościach są na palach oparte, i niktby się nie domyślił, że te druty prawie bez przerwy błyskawiczną szybkością myśli, tam i nazad różne wiadomości podają. — Ten wcale niekosztowny sposób komunikacyi może posłużyć nawet na rzékach i na morzu. Wtedy jednak muszą być druty ułożone na dnie i ciężkiémi wagami przymocowane. Wynalazca zamyśla poprowadzić elektryczny telegraf między Londynem a Paryżem. Na żelaznych kolejach są takie rychłe doniesienia nieocenionéj wartości. Jeźli wypadnie wysłać jaki osobny pociąg wozów, lub donieść jakąkolwiek wiadomość, już nie potrzeba opalać lokomotywu i wyprawiać go w poselstwie na oznaczone miejsce — elektryczny telegraf dopełnia tego zlecenia daleko rychléj i pewniéj. Zwiedzając ten telegraf — opowiada pewien naoczny świadek — zdarzyło się iż jakaś szesnastoletnia dziewczyna została przy odejściu ostatniego parowego wagonu rozłączoną od swych rodziców i musiała czekać na stacyi. Biédna opuszczona płakała rzewnémi łzami i spuściła welon na oczy. Zaprowadzono ją do biura telegrafu elektrycznego; powiedziała nazwisko swojego ojca. Wagon, z którym ojciec pojechał, ruszył już dawno w drogę, ale magnetyczna depesza zdołała go jeszcze wyprzedzić, a dopiéro w kwadrans przybyła odpowiedź od ojca: »Powiedz wpan naszéj córce, aby wyjechała pierwszym wagonem, oczekujemy ją w ***.« Biédna Aryjadna otarła sobie łzy i przypatrywała się z dziecinną ciekawością czarodziejskiemu telegrafowi; potém spojrzała radośném okiem na pana Wheatstone i jużeśmy jéj więcéj nie obaczyli. — Tożsamo i na orleańsko-paryzkiéj kolei ma być urządzony telegraf elektryczny. Pan Wheatstone oświadczył się oprócz tego francuzkiemu rządowi, iż za 25letni przywiléj założy wszystkie telegraficzne linije na swoje koszta i będzie je dwoma trzeciemi częściami kosztów administrować. Pierwszą próbę chce on odbyć w okręgu fortyfikacyj paryzkich.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł nr. 40. i obejmuje: 1) Alexandra hrabi Cetnera myśli o założeniu przez akcyje kolei żelaznéj w Galicyi. (Cięg dalszy.) 2) List pisany do j. o. księcia Leona Sapiehy z Londynu względem zniesienia dawnego cła i postanowienia nowego od wełny zagranicznéj, o gatunkach téjże, dobry odbyt znaleźć mogących, jeżeli należycie będą myte, sortowane i upakowane. 3) Wiadomości handlowe z Gdańska z 18. września r. b. 4) O sandomirskiéj pszenicy. 5) Sprostowanie omyłek drukarskich.

Ludwik Kropiński, jenerał b. wojsk polskich, autor trajedyi »Ludgarda«, romansu »Julija i Adolf« i wielu poezyj pamiętnych i pamiętanych zakończył życie doczesne dnia 17. sierpnia r. b. w pięknym majątku swoim Woronczynie w gubernii wołyńskiéj. Zawód jego wojskowy sięga epok Stanisława Augusta i księstwa warszawskiego, którychto epok cały niemal przedział, dla ratowania ranami zwątlonego zdrowia, spędził we Włoszech. Ożeniwszy się poźniéj z Anielą Błędowską, rozpoczął zawód gospodarski, od którego aż do śmierci się nie oddalił. I w tem zaciszu umiał on odznaczać się wzorowém wykształceniem towarzyskiém, ozdobném urządzeniem niezbytkownego domu, zebraniem licznéj i dobranej biblijoteki a nadewszystkiém pisaniem dzieł pełnych powabu. Ojciec trojgiem dzieci uszczęśliwiony, kolejną utratą ich wszystkich jakby stopniowo umierał. Na ośm lat przed śmiercią doznał nowego nieszczęścia, któremu już przedtem wielu członków jego familii uległo — utracił wzrok. Lecz i tę ciężką kięskę zniósł szanowny starzec z nieugiętym umysłem, i jak przez całe życie pełnił sumiennie obowiązki prawego obywatela i chrześcijanina, tak téż z przykładną nabożną odwagą i przytomnością skończył.

List pani George Sand do Mickiewicza. »Załączam tu niektóre słowa dotyczące się uwag które po brzegach przysłanego mi przez wpana rękopismu znalazłam. Niewiém z czyjego pióra poprawki te wypłynęły, ale nie mogę się wstrzymać od wynurzenia, iż mi się one bardzo niestosowne wydają, i że wpan sam znasz daleko lepiéj moc i ducha naszego języka niż osoba, któréj poprawienie swego rękopismu zleciłeś. Nie poważam się wyrzec tu jakiegokolwiek zdania o pańskiém dziele, gdyż co do utworów dramatycznych nie jestem odpowiednim sędzią. Ztémwszystkiém jestem taką wielbicielką wszelkich pism wpana, iż jeźli ta nowa praca tylko w części zalety poprzedniczych posiada, nader chętnie jéj usterki pomijam. Mogę więc tylko o stylu pańskim nieco powiedzieć: — W ustępach, gdzie wymowa góruje nad działaniem, dorównywa ona mojém zdaniem wymowie naszych największych mistrzów. Tam jednak gdzie działanie ważniejszém jest od wyrażenia, zdaje mi się styl pański w ogólności (oprócz niektórych usterków językowych) takim jak być powinien, tylko może nieco zbyt ucinkowym w dyjalogach; właśnie bowiem dla tego, iż rola i charakter wojewody tę energiczną dobitność mowy usprawiedliwiają, byłoby dobrze, gdyby reszta osób dramatu była wolną od téj namiętności wyrażenia się. Duch naszego języka nie pozwala tak częstych skróceń; nowsi nasi dramatyczni pisarze używają ich wprawdzie aż do przesady; lecz nasi sławni dawniejsi autorowie, których wpan powinowactwem swego jenijuszu istotnym jesteś następcą, dopuszczali się bardzo rzadko tego sposobu pisania. — Wstydzę się zaiste, czynić wpanu te uwagi, i anibym się nawet była nie odważyła, gdybyś wpan mnie, swojéj wprawdzie niegodnéj lecz szczeréj wielbicielki, niebył sam wezwał do tego. — Co się tycze powodzenia, jakieby ta sztuka na scenie mieć mogła, nie zdołam nic pewnego przepowiedzieć. Dzisiejsza francuzka publiczność, dziwaczna i niepojęta w sądach, użycza tak śmiesznie swoich pochwał, iżbym się wcale nie dziwowała, gdyby jaki dramat Szekspira, któryby pod fałszywym tytułem przedstawiono, został zupełnie wygwizdanym. Tyle tylko powiedzieć mogę, że, jeźli prawdziwa piękność i szczytność na wieniec zasługują, więc to ostatnie dzieło wpana powinno tę nagrodę otrzymać. — Przyjm wpan wyraz najrzetelniejszego szacunku. George Sand.« — Powyższy list ściąga się do napisanego przez Mickiewicza w języku francuzkim dramatu: »Oblężenie Krakowa,« który lubo przeznaczony do wystawienia, dotąd jeszcze ani na scenie ani w druku się nie okazał.

Zyjątka w soli. Profesor Gravenhorst z Wrocławia znalazł świeże i zupełnie uorganizowane chrząszcze w soli. Opowiada to zdarzenie w następnjący sposób: »Przed niejakim czasem przysłał mi przyjaciel z Krakowa bryłkę soli z kopalni wielickiéj w Galicyi jako rzadką osobliwość, ponieważ w podobnéj bryłce téj soli owady znaleziono. Podniosłem bryłkę do światła i postrzegłem w istocie, iż we środku owady, mianowicie zaś chrząszcze się znajdowały. Włożyłem tedy bryłkę tę w wodę a nazajutrz ujrzałem w rozpuszczonéj tak soli ze dwanaście zupełnie dobrze zachowanych drobnych chrząszczów z gatunku *Ptinus*.« Gravenhorst uznał je za nowy wcale rodzaj i opisał najdokładniéj. Są one tak wielkie jak pół konopianego ziarna, jajkowate, brunatno-czerwone, z czujkami wielkości połowy ciała. Nazwał je Gravenhorst *Ptinus salinarius.* Sądząc ze stanu świeżości, w jakim je Gravenhorst uważał, nie zdają się one być fosylijami.

Postrzeżenia na górze Montblanc. Naturaliści Bravais, Martins i Lepileur osiągnęli nareszcie dnia 29. sierpnia szczęśliwie sam szczyt góry Montblanc. Planem ich zrazu było, aby każdy z nich kolejno w towarzystwie przewodnika przenocował tamże pod małym namiotem, podczas kiedy dwaj inni z resztą przewodników na niższym ustępie góry tak zwanym *grand plateau* pozostaną; lecz zimno było tak dojmujące, iż musieli zaniechać tego zamiaru. O drugiéj godzinie z południa okazywał termometer 7 4/10 stopni niżéj 0, a pomimo jasnéj pogody, trudno było piąć się do góry. Na kilkaset stop przed najwyższym szczytem napadła gwałtowna burza podróżników, a zimno, które wtedy uczuli, było tak mocne, iż przybywszy na wierzchołek, gdzie się wiatr zupełnie prawie był uspokoił, rozumieli, że się w opalonym pokoju znajdują, gdy przecież termometer 7 4/10 stopni poniżéj 0 wskazywał! Wędrowcy przenocowali pod namiotem, który jeszcze od czasów ich piérwszéj podróży na wspomnionym *grand plateau* pozostał i mimo wszelkiego wpływu słoty i zimna nienszkodzony się przechował. Gdyby nie nadzwyczajna trwałość tego namiotu, byliby niezawodnie musieli zginąć, gdyż zaraz piérwszéj nocy którą tam przepędzili, ujrzeli się narażeni na gwałtowną burzę przy 13 stopniach mrozu poniżéj 0. Gorliwi badacze przyrody przedsiębrali przez trzy dni ciągiem swoje postrzeżenia z tak rzadką wytrwałością, iż w samej rzeczy godni są naszego podziwienia, zwłaszcza gdy sobie przypominamy, iż dotąd nikt jeszcze dłużéj nad cztéry godzin na szczycie góry Montblanc nie wytrzymał, a większa część podróżnych natychmiast do niższych stref pospieszała, ponieważ w tak znacznéj wysokości pobyt z powodu zbyt rozrzadzonego powietrza z wielkiémi dolegliwościami jest połączony.

Cierpienia baletniczki. W dowcipném i zajmującém dziele p. *Albéric Second, »Les petits mystères de l'opéra,«* opowiada pewna paryzka baletniczka historyję swoich cierpień w następujący sposób: Ktokolwiek ma najmniejsze wyobrażenie o cierpliwości, odwadze, rezygnacyi i niezmordowanéj gorliwości, jaką początkująca baletniczka mieć musi; kto tylko ma przeczucie o mękach jakie przecierpieć i łzach cichych, jakie przepłakać musi nim zostanie jakkolwiek mierną tancerką, musi uczuć oraz i litość i zgrozę!

Gdym ledwie ośm lat miała, wysłano mię do szkoły tańcu pana Barrez, *rue Richer nr. 4*. Nakarmiona filiżaneczką bardzo dwuznacznéj kawy, odziana leciuchną sukienką z *indienne*, głodna i drżąc od zimna, zaczęłam moje lekcyje czyli moję codzienną męczarnię, któréj nie jestem wstanie opisać. Tortura, którą wymazano z kodexu karnego, stanowi teraz istotny rozdział nauki tańcu. Każdego poranku rozpoczynał tancmistrz swoje lekcyje od tego iż mi wśrubowywał nogi w umyślnie na to przyrządzoną maszynę takim sposobem, że podczas gdy się pięty z sobą schodziły, kolana zupełnie w przeciwne strony wykręcone zostały. Wytrzymawszy z pół godziny w takiéj postawie, musiałem się następnie nowéj poddać męczarni. Trzeba było postawić jednę nogę na sztabę żelaza, a przeciwną ręką dźwigać téż samą sztabę. Przez tamtę postawę miałyśmy nabywać »t u r n i u r y,« przez ostatnią zaś »zgięcia.« Po uwolnieniu z tych udręczających postaw, następowały wiecznie te same kroki: *balancés, ronds de jambe*, kapryjole, piruety, *pas de bourré*, a wreszcie rozmaite *entrechats* i t. p. Gdyśmy prawie z nnużenia padały, wołał nielitościwy Barrez: »*Dansez! Dansez!*« Niech jednak nikt nie myśli że podobne udręczenia tylko jakiś czas trwają; nie mogą one ustać na chwilę, gdyż jedynie pod tym warunkiem zdoła tancerka zachować swoje zwinność i lekkość. Urzeczywiszcza ona bajkę o Sysyfie i jego nieustannie na dół staczającéj się skale. Byłam raz świadkiem, jak Taglioni po dwugodzinnéj lekcyi swojego ojca prawie nieżywa padła. Wszystkie tancerki niższego rzędu idą za przykładem niezrównanéj sylfidy. Sztuka tańcu składa się z dwu części: z ulotnego, powiewnego tańcu panny Taglioni, który łączy lekkość z wdziękiem — i drobnych szybkich, na koniuszkach palców tańczonych kroków, któremi celuje panna Elsler, ta uosobiona lekkość i zwinność. — Łatwo pojąć że podobne rzemiosło nie jest bez niebezpieczeństwa. Przez zmyślone niebezpieczeństwa, które baletniczka na scenie przedstawia, oswaja się ona z prawdziwémi, podobnie jak żołnierz w wojnie do świstu nieprzyjacielskich kul nawyka. Tancerka odbywa napowietrzne podróże na dykturkowych obłokach które na cienkich drutach wiszą; zapada się pod ziemię, a nieraz także wylatuje oknem albo kominem. W piérwszym akcie baletu »*la Peri*« odbywa Carlotta Grisi tak niebezpieczny skok, iż wcale bez przesady powiedzieć można, że ile razy to czyni, tyle razy życie swoje naraża. Niezręczność lub samo tylko roztargnienie towarzyszącego jéj wtedy tancerza mogłyby ją o śmierć przyprawić. Znam pewnego Anglika, który żadnego przedstawienia tegoż baletu nie opuści, będąc najmocniéj przekonanym że Carlotta w tym balecie koniecznie kark skręcić musi. — Tancerka poświęcająca się baletowi doznaje tego samego losu, co żołnierz idący na wojnę. Oboje mają marszałkowskę buławę w kieszeni; wiedzeni świetną nadzieją idą odważnie naprzód; ale po pewnym przeciągu lat znika piękne złudzenie, a przyszły marszałek przebudza się jako stary, bliznami okryty sierżant. Jednym z rzadkich wyjątków jest moja koleżanka Maryja, nader zgrabna tancerka, która cały parter wielkiej opery w zachwycenie wprawia; sama ona nawet dla siebie role utwarza. Rozumié się iż ona niéma nic przeciw temu, jeźli się studenci i krytycy zaprzęgną do jéj fijakrowego powozu i ciągną ją w tryjumfie do domu, to bowiem jest marszałkowską buławą tancerki. Komu jednak wiadomo, po jakich stromych, ciernistych ścieżkach iść musiała, zanim swego dzisiejszego szczytu dosięgła, musi się istotnie zdziwić, że jéj męstwo i jéj wdzięki nie oberwały się jak runo owieczki po głogach i cierniach téj przykréj drogi, którą szła tak długo.«

L w y i m u r z y n i. Pallme w opisie swoich podróży po Kordofanie przytacza między innemi dziwny sposób, w jaki Szillukowie i inne plemiona, które wcale palnéj broni nie mają, umieją przecież dzikie zwierzęta a mianowicie lwy zabijać. »Wyszukują najprzód miejsce, gdzie lew zwykł odpoczywać w południe. Jeźli położenie tego miejsca jest dobre, to jest jeźli się tam w pobliskości jedno lub kilka drzew znajduje, natenczas są pewni swéj zdobyczy. Na trzy lub cztery godziny przed południem udaje się murzyn na to miejsce i wyłazi na drzewo koło którego lew będzie wypoczywał. Między 10. a 11. godziną, kiedy upał najnieznośniejszym się staje, powraca lew z łowów i kładzie się pod drzewo na południową syjestę. Chociażby ujrzał murzyna na drzewie nie troszczy się wcale o niego, i równie lew jak murzyn zachowują się do 12. lub 1. godziny jak najspokojniéj. Murzyn ma z sobą worek małych kamieni i kilka ostrych grotów. Gdy się już piasek na ziemi do tego stopnia rozpiecze, że nawet zwierzęta po nim stąpać nie mogą, natenczas zaczyna myśliwy rzucać na lwa kamykami, mierząc zawsze do głowy, i jak to murzyni zazwyczaj umią, nigdy go prawie nie chybiając. Dumny król zwierząt nie zważa bynajmniéj na pierwsze trzy albo cztery kamienie i nawet się podnieść nie raczy; dopiéro gdy kamyki coraz rzęsiściéj padać zaczną, a niektóre już go może i w oko ugodziły, nie znosi tego dłużéj cierpliwie — napełnia rykiem powietrze i rzuca się jednym skokiem ku drzewu na którém murzyn siedzi. Lecz tutaj zostaje powitany grotem, i chociaż go ta odniesiona rana nie boli więcéj niż rozżarzony piasek, który go w nogi piecze, zaczyna jeszcze okropniéj ryczeć i wraca nazad na miejsce swego spoczynku. Tam go jednak nowy kamyk poraża, aż wreszcie wściekły po raz drugi ku drzewu przyskakuje i znowu jednym lub dwoma grotami raniony bywa. Nakońcu ucieka z przeraźliwym rykiem boleści, lecz utratą krwi osłabiony, nie może już biédz daleko i pada nieżywy na rozżarzonym piasku.

O z n a k a s z l a c h e t n e g o s e r c a. Na ostatnim końcu bulwaru Beaumarchais w Paryżu znajduje się stanowisko fijakrów. Skoro najpiérwszy powóz odjeżdża, ruszają w tejże chwili pozostałe powozy naprzód, a konie są już tak do tego przyzwyczajone, że same z siebie, nie będąc nawet napędzanémi, zajmują opróżnione miejsce. Jednego mroźnego zimowego poranku odjechał był przedni fijaker. Konie najbliższego powozu miały właśnie wiązkę siana przed sobą i jadły ją na śniadanie. »Na widok odjeżdżających sąsiadów swoich zatrzymały się biedne głodne zwierzęta na chwilę nie ruszając się z miejsca; ale wkrótce przemogło uczucie powinności, lub téż bojaźń przed biczem; opuściły ze smutkiem wiązankę siana i postąpiły na opróżnione miejsce. Kilka osób stało w oddali i było świadkami téj niemej sceny; jakiś mężczyzna, mający około lat 50, w skromnem ubraniu, z wstążeczką orderową, występuje naprzód, podnosi starannie siano i kładzie je przed konie. — »Nie znam tego pana,« ozwał się jeden z obecnych, »ale musi to być zacny człowiek.« — »W istocie jest takim;« odrzekł ktoś inny — »jest to c z ł o n e k a k a d e m i i K a r o l N o d i e r *).«

*) Niedawno zmarły.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.